

Czy świat się z nas śmieje?

10 września 2010



Większość narodu (ta mianowicie, która w sondażach i medialnych debatach opowiada się za rozsądkiem, umiarkowaniem, tolerancją, wolnością słowa, różnorodnością i nowoczesnością) odpowie twierdząco na tytułowe pytanie.

Jasne, że w świecie cywilizowanym nas wyśmiewają. Dzieje się tak z winy „krzyżaków”, oszołomów i świrów, których w języku bardziej neutralnym można określić jako fundamentalistów czy fanatyków.

Czy tak jest rzeczywiście? Przechodząc stołecznym Traktem Królewskim, u turystów zagranicznych spostrzega się częstokroć – zamiast odruchów szyderczych – raczej umiarkowanie życzliwe zainteresowanie odbywającą się tam demonstracją pod krzyżem. Obserwatorom z zewnątrz potrafi się podobać, że u nas się jeszcze o coś walczy. Ze swojego podwórka znają głównie spory o minimalne przesunięcia w skalach podatkowych i budżetach poszczególnych resortów. A tu proszę, wystarczy pojechać do jednego z mniej znanych krajów Unii Europejskiej, żeby popatrzeć na pełnowymiarowy konflikt z mocnym zaangażowaniem.

To i owo chwałą w Polsce nie tylko przypadkowi goście, lecz także celebrowani profesjonaliści. Philippe Herreweghe, dyrygent, którym zachwycają się entuzjaści wykonań dawniejszych i nowszych arcydzieł na instrumentach

historycznych, stwierdził w radiowej Dwójce, że woli występować w Polsce niż w Europie Zachodniej. Tam bowiem klasyka muzyczna jest specyficzną rozrywką dla lepiej wykształconych ludzi tzw. trzeciego wieku. Tymczasem w polskich filharmoniach wciąż znajduje się publiczność, która wspomnianą klasykę umie przeżywać.

Herreweghemu zatem nasze społeczeństwo podoba się właśnie dlatego, że – mimo trwających od dwóch dekad zawziętych starań – nie w pełni upodobiło się ono do Zachodu. Są tu jeszcze ludzie ukształtowani w minionym okresie, w którym wszechobecność popkultury podlegała pewnym ograniczeniom. Z braku bogatej oferty konsumpcyjnej, wielu maturzystów i studentów, a także inżynierów i lekarzy interesowało się filozofią Lukacsa i Heideggera, prozą iberoamerykańską czy filmowymi konfrontacjami. W tych kręgach chętnie słuchało się też – korzystając z tanich płyt, biletów i abonamentów – zarówno Bacha, jak Schoenberga.

Ta część społeczeństwa, która nie przepada za mediami sprzyjającymi Platformie, dystansuje się od lansowanej w nich kultury rozrywkowej. Radio Maryja, które stało się dzisiaj mniej więcej tym, czym kiedyś była Wolna Europa – czyli azylem dla zdeterminowanych przeciwników systemu – chętniej nadaje Chopina i Czajkowskiego niż rocka. W sumie, społeczne zaplecze dla rozentuzjasmowanych słuchaczy Herreweghego tworzą pospołu PRL-owskie zaszłości i środowiska antykomunistyczne. Może więc z Polski faktycznie nie warto się śmiać. Czy nie jest ona ciekawym krajem?

Nie wpadajmy jednak w przedwczesny samozachwyt. Gdyby apetyt na ambitniejszą kulturę został przed rokiem 1989 rzeczywiście głęboko ugruntowany, to w czasach transformacji nie uległby tak łatwo naporowi Hollywood i MTV. Idąc dalej, przypuśćmy, że Kuba Wojewódzki nie wyszydzałby katastrofy smoleńskiej i jej ofiar, tylko wyraził żal, że nie zdążył przybić piąchy Lechowi Kaczyńskiemu. Wtedy prawdopodobnie byłby on mile widzianym gościem na wiecach przeciw Platformie i Komorowskiemu. Poziom

jego humoru i muzykowania mało komu by przeszkadzało.

Z Herreweghem byłoby jeszcze trudniej się zgodzić, gdybyśmy przenieśli się na obszary uważane za o wiele bardziej istotne niż odbiór muzyki klasycznej. Polski system kształcenia swoim spragmatyzowaniem i technokratyzacją bije na głowę swoje zachodnie odpowiedniki. Angela Merkel i Nikolas Sarkozy muszą w jakimś stopniu się liczyć ze związkami zawodowymi, które premier Tusk wyszydza na rocznicowych zjazdach. Notabene, nie przepadając nawet za redukowaniem współczesnych zdarzeń do dawnych totalitaryzmów, trudno uniknąć pewnego zabawnego skojarzenia z pytaniem Tuska o zaginione 9 milionów członków „Solidarności”. Bodajże w roku 1942, Józef Stalin spotkał się na Kremlu z patriarchą Rosji. Armia Czerwona – apelował – potrzebuje Cerkwi. Ale – dopytywał – gdzie są popi? Cemu ich tak mało? Patriarchę tylko na chwilę zmroziło, że Stalinowi spодobało się zapomnieć, iż większość duchownych zlikwidowano fizycznie lub odizolowano w syberyjskich obozach pracy z jego inicjatywy. – Josifie Wissarionowiczu – odparł – my po prostu mamy pecha kadrowego. W Gruzji kształciliśmy bardzo zdolnego seminarzystę, który wszakże – zamiast archimandrytą – został sekretarzem generalnym partii komunistycznej.

A „Solidarność”, z kolei, wykształciła działaczy, którzy – w ramach niezbędnych reform gospodarczych – pozamykali zakłady, skąd mogłyby się rekrutować następne generacje związkowców. Na tym nie koniec polskiej komedii omyłek. Za PRL powtarzano, że chcielibyśmy żyć jak zachodni bezrobotni, mieszkać w tamtejszych slumsach i wdychać zapach gnijącego kapitalizmu. Teraz pozostaje nam marzyć o państwie socjalnym zredukowanym do tego stopnia, jak to sobie w najśmielszych snach wymarzyli konserwatywni eksperci brytyjskiego premiera Camerona. Bo – póki co – w dno, do którego osiągnięcia zdolna jest neoliberalna terapia szokowa, pukamy od spodu.

Herreweghe zna z Polski głównie publiczność filharmoniczną. Gdyby w nocy przeszedł się na reprezentacyjną arterię stolicy, przebiegającą obok pałacu prezydenckiego, zobaczyłby motłoch,

który w jego ojczystej Belgii też oczywiście istnieje, lecz podlega skutecznemu wyciszeniu i zmarginalizowaniu. Za to u nas opiniotwórcze gazety kreują go na odważny zastęp „radosnych dzieci Oświecenia”. Janusz Palikot, gdyby spróbował robić karierę polityczną wśród Walonów i Flamandów, przegrałby wybory na małomiasteczkowego burmistrza. Obrady parlamentu krajowego mógłby co najwyżej obejrzeć w telewizji, wykrzykując przy grillu, co ciekawego by powiedział, jeśliby został na nie dopuszczony. Media belgijskie, w jakimś podstawowym strategicznym wymiarze, też zapewne nadzorują, kontrolują i manipulują. Przetargi wygrywane przez biznesmena tego pokroju umiałyby jednak poddać skutecznemu śledztwu dziennikarskiemu.

Patrząc realistycznie, pod wieloma zasadniczymi względami ustępujemy Zachodowi. Zdając sobie z tego sprawę, nie wolno jednak ulegać psychotycznemu kompleksowi niższości. Jeśli już mówimy o umysłach zdecydowanie odbiegających od normy, to trzeba wiedzieć, że w Polsce nie atakują one z marginesu, lecz dominują w głównym nurcie. Zadręczą ich wstyd, że nie urodzili się Belgami, Anglikami, Francuzami czy Niemcami. Aby odreagować ten osobisty problem, oddają się orgiom zbiorowej autoagresji.

Według promowanych przez nich ocen, Polsce nie wolno odczuwać satysfakcji z osiągnięć, które od czasu do czasu przecież jej się zdarzają. Z jednym wyjątkiem: mamy prawo poklepywać siebie po plecach za to, że dzięki transformacji – kosztem, być może, pewnych wyrzeczeń – w jakimś stopniu upodobniliśmy się do Zachodu. Ale na tym już koniec. Polityka zagraniczna Lecha Kaczyńskiego, która nie zakładała z góry wstydu z tej racji, że była prowadzona w imieniu Polski, nie mogła podobno przynosić owoców. Jeżeli samolotowi z tutejszym prezydentem i prominentnymi politykami na pokładzie przytrafi się wypadek, to od razu wiadomo, że winny temu był polski bałagan. Odrębności w lokalnej tradycji kulturowej należy wykorzenić na rzecz liberalnego, ewentualnie emancypacyjnego mainstreamu. I podobnie, powinno się systematycznie rezygnować z

suwerenności, bo nade wszystko liczy się pogłębiona integracja europejska.

Spustoszenie wywołane bałwochwalstwem Zachodu bije w oczy. Zniszczyło ono tyleż prawicę, co lewicę, o centrum nie wspominając. Traciliśmy czas na kopiowanie nurtów, które w swojej kolebce się skompromitowały. Neokonserwatyzm, z jednej strony, z drugiej natomiast – skrajna lewica w stylu roku 1968, święciły u nas triumfy, gdy na ich rodzimym gruncie nimi się znudzano. Taki na przykład wróg „imperializmu”, który pasjonuje się losami Strefy Gazy, ignorując równocześnie stosunek własnego kraju do cudzej polityki mocarstwowej, jest produktem tych naśladowczych odruchów „papugi narodów”.

Czy zresztą Zachód ze swoją wyczerpaną kulturą i administrowaniem zasobami ludzkimi pod powierzchowną maską wolności i spontaniczności – to taki znowu ideał? Tym bardziej, że on sam coraz bardziej ma siebie dosyć i wygląda alternatywy, na której powstanie u siebie nie ma już nadziei? Pozytywnie mówiąc: w miarę, jak stajemy się jeszcze gorsi od metropolii, musimy wierzyć, iż mamy szansę być lepsi. I to nie na starej zasadzie: dogonić i przegonić, tylko tak, że pójdziemy inną drogą.

Autor: Jacek Zychowicz

Zdjęcie: [premasagar](#)

Źródło: [Obywatel](#)